



Tomasz Piątek  
**PAŁAC  
OSTROGSKICH**



. . . w serii ukazały się . . .

---

- Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*  
Dawid Bieńkowski *Nic*  
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*  
Jacek Dehnel *Lala*  
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*  
Izabela Filipiak *Magiczne oko. Opowiadania zebrane*  
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*  
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*  
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*  
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*  
Manuela Gretkowska *Namiętnik*  
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*  
Mariusz Grzebalski *Człowiek, który biegnie przez las*  
Marek Kochan *Plac zabaw*  
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*  
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*  
Wojciech Kuczok *Gnój*  
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*  
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*  
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*  
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*  
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy*  
Sławomir Shuty *Zwał*  
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*  
Sławomir Shuty *Ruchy*  
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*  
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*  
Mariusz Sieniewicz *Rebelia*  
Marek Soból *Mojry*  
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*  
Wojciech Stamm *Czarna Matka*  
Magdalena Tulli *W czerwieni*  
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*  
Magdalena Tulli *Tryby*  
Magdalena Tulli *Skaza*  
Witold Wedecki *Czarne rondo*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

---

Tomasz Piątek

---

Pałac Ostrogskich

---

Patronat medialny



Copyright © Tomasz Piątek/Syndykat Autorów

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Wydanie I

Warszawa 2008

Na początku był nastrój. Albo obraz. Wierzysz w to pierwsze czy w to drugie? Ostrożnie z odpowiedzią, bo wiele od niej zależy. Jeśli wierzysz w pierwsze, będziesz potępiony. Jeśli wierzysz w drugie, będzie potępiony.

Oczywiście „potępiony” to jest słowo, którego nie powinienem lubić. A na pewno ja, Tomasz Piątek, nie powinienem nim tak nieustannie szafować (szafować – piękne słowo, które w moim przypadku więcej ma wspólnego z szafotem niż z szafarstwem, bo szafarz byłby ze mnie kiepski). Wierzę jednak, że jeśli – jak mówi w starym języku stara Biblia Gdańska – nałożył Pan na mnie piątno, piątno narkomana i alkoholika, to nie po to, żeby się nade mną znęcać, tylko żeby mi coś pokazać. Moja odraza do normalnego, codziennego bytowania nie może być zaspokojona żadnym narkotykiem, bo tak naprawdę jestem za mało ćpunem. Jestem o wiele mniej ćpuńskim ćpunem niż większość czytających te słowa. Dlaczego? Bo za mało ulegam narkotykom, środkom znieczulającym, bo większość środków znieczulających stosowanych przez ludzi

na mnie nie działa. Żeby zapomnieć o potworności – chociaż to zbyt mgliste słowo, o kanciastości? chropowatości? tarkowatości? zdzierakowatości? – żeby zapomnieć o zdzierakowatości życia, większość ludzi potrzebuje ciastka, zakupu dużej liczby porcelanowych prosiaczków albo zgromadzenia kolekcji drewnianych Murzynków z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Mnie nie wystarcza nawet heroina, paraliżująca ośrodkowy układ nerwowy, a robiąca także kuku układowi oddechowemu, pokarmowemu i wydzielniczemu.

Jasne, Tomeczku. Tak, tak, Tomeczku. Najlepiej znaleźć dla swojej choroby, dla swego grzechu uzasadnienie filozoficzne i teologiczne. Albo na odwrót, nie filo-zoficzne i teo-logiczne, tylko teo-zoficzne i filo-logiczne. Teozofia to jedno z ulubionych zajęć czytelników pisma „Nieznany Świat”: wywoływanie duchów, kosmitów czy łączenie się telepatyczne z Tajemnymi Tybetańskimi Mistrzami zamieszkującymi wydrążone wnętrza nepalskich gór. A filologia... Filologia jest jeszcze lepsza. To kunsztowne igranie znaczeniem wyrazu oraz jego źródłosłowem, z którego wynika, że narkoman to tylko taki śpioszek, jako że *narkos* to po grecku *sen*, a *man* to wcale nie angielski człowiek (względnie mężczyzna), tylko maniak po grecku. A więc narkoman to maniak snu.

Z tym ostatnim stwierdzeniem się godzę, szczególnie dzisiaj, po dwóch nieprzespanych nocach. Co prawda, nad ranem udało mi się zdrzemnąć, ale spałem płytko i śniłem płytko, bo śniły mi się obozy

zagłady, ich powolne przeobrażanie się z instytucji na poły dobrowolnych, agencji pośrednictwa pracy, w coraz bardziej ogrodzone parki (i chyba była pewna ulga, kiedy parkan został zastąpiony przez drut kolczasty, przez chwilę wolałem nawet drut kolczasty), gdzie coraz bardziej zdenerwowani ludzie wykonują na rozkaz coraz więcej zagadkowych, bezsensownych, pozornie niezwiązanych ze sobą czynności, które nagle, przy ostatnim rozkazie, w jednej sekundzie się łączą, powodując śmierć wszystkich obecnych, którzy właściwie zabili się nawzajem. Winni? Współwinni? Zapytajmy o to dobrodusznego belgijskiego detektywa z powieści dobrodusznej angielskiej pisarki, niech detektyw rozwikła zagadkę symultanicznych tajemniczych ruchów, oddzielnego wiązania kilkudziesięciu różnych sznurowadeł, które nagle splotły się w jedną kolektywną szubienicę. Czy Hercule Poirot założyłby pasiak gdziekolwiek poza sypialnią? Czy – jako dobrze wychowany konserwatysta – nie byłby zasadniczo przeciwny tatuażom, nawet skromnym, praktycznym i numerycznym? Takie zagadnienia nie dawały mi spać, kiedy śniłem. Właściwie miałem świadomość, że śnię, co nie pozwalało mi się zrelaksować, co nie pozwalało mi tak naprawdę spać. Kiepsko się śpi, kiedy się wie, że to tylko sen. Nie można pograć się kompletnie w sennej wizji, a ona wtedy nie regeneruje tak, jak powinna.

Choć gdybym nie wiedział, że śnię, to byłbym w tym śnie jeszcze mniej zrelaksowany. Bobym myślał, że ten cały koszmar, który się dzieje, to prawda. Prze-



żyłem kolektywną egzekucję jako jeden z nielicznych Polaków w obozie. Ogromną większość stanowili nerwowi bruneci i wiedziałem, że to Żydzi. Im została dana łąska gazu albo stryczka, zadziergniętej pętli na szyi. Ja miałem umierać dłużej, bardziej boleśniej i niewolniczo. I wiedziałem, o czym jest ten sen. Był to widok – oczyma duszy – na kawałek naszej współczesnej, zupełnie rzeczywistej rzeczywistości, w której „Żyd” znaaczyło samobójca, a „Polak” – narkoman, uzależniony.

Kim byli Niemcy? Wcale nie uważam, że Niemcami, naszymi katami, są ludzie normalni. Łatwo byłoby teraz wygłosić wielką mowę o okrucieństwie tych, którzy wiją sobie gemütlich gniazdko i zarabiają geld, a równocześnie spychają na margines, zamykają w gettach lub po prostu równają z ziemią nas – czyli niby „tych bardziej wrażliwych”, „ofiary społeczeństwa” i tak dalej. To nieprawda. Ja nie mam żadnych pretensji do porządných, normalnych ludzi. Uważam, że to w ogóle jakaś gigantyczna pomyłka, że prawie całą kulturę – koniec końców, przeznaczoną dla ludzi trzeźwych i normalnych – tworzą ludzie uzależnieni, czyli obrzydliwe, trzęsące się nad sobą samoluby, które, żeby przeżyć całe to bogactwo uczuć wyższych, jakie dostępne jest każdej gospodyni domowej czy pracownikowi działu marketingu, muszą przejść trening zbliżony do aktorskiego, baletowego czy kung-fu. Bo człowiek uzależniony takich zwykłych ludzkich uczuć nie przeżywa.

Tak, tak, moi państwo. Zajrzyjcie do pierwszego lepszego ośrodka dla uzależnionych, a zobaczycie, za

cenę jakiego niesamowitego wysiłku, zaciskania pięści, zębów, a nawet dziąseł, ludzie uczą się przeżywać, znosić i wyrażać... co? No właśnie to, o czym tak trudno się mówi. To, co tak trudno nazwać, złapać. To, co jest jak chmura lub dym. I nieraz ci nieszczęśnicy się łudzą, mówiąc: „Chyba zaczynają mi wracać prawdziwe uczucia”. Ale kiedy można mieć pewność, że to już to, że to już uczucie? Czy uczucia można dotknąć? A jeśli tak trudno jest go dotknąć, to czy można o nim mówić?

Łatwiej chyba o tych chmurach i dymach opowiedzieć, gdy się po prostu pokaże i dotknie kwadratowego i zimnego konkretnego. Takiego jak kafle. Kafle to też coś, co przestałem lubić. A właściwie nigdy ich nie lubiłem, były mi obojętne. A właściwie nie lubiłem ich na tyle, na ile nie lubi się wszystkiego, co obojętne – no bo ja przynajmniej mam pretensję do wszystkiego, co obojętne, martwe, nieożywione: dlaczego nie jest przyjazne, ciepłe, ludzkie, ożywione jakimiś uczuciami? Ale potem zacząłem kafli nie lubić naprawdę. Stały się wtedy dla mnie ożywione pewnymi uczuciami, ale nie były to uczucia, jakich bym komukolwiek życzył.

## Kwestia Murzyna z tacą na głowie

Miałem właśnie opowiedzieć o kaflach i o tym, jak bardzo dramatyczną rzeczą w życiu człowieka może stać się glazura. Miałem też opowiedzieć o torturach, jakim został poddany za młodu Fryderyk Chopin. Miałem opowiedzieć o polowaniu na zagubiony rękopis słynnego filozofa Waltera Benjamina. Niestety, nie mogłem tego wszystkiego teraz zrobić (zrobię później), ponieważ jestem narkomanem, w ciągu całego mojego „dorosłego” życia wydałem na narkotyki, alkohol, restauracje i taksówki około miliona złotych, dlatego nie mam domu i mieszkam z rodzicami. I w związku z tym musiałem teraz na chwilę przestać pisać, żeby dopuścić mamę do komputera. Mama znalazła w internecie małe, drewniane, polichromowane paskudztwo – Murzyna o ropuszo wylupiastych oczach, nieco zezowatego, z tacą na głowie – a właściwie z głową, która płynnie przechodzi w szeroką okrągłą grzyboidalną tacę. Taca jest integralną częścią Murzyna, a w każdym razie wygląda to tak, jakby wyrzeźbiono ich – tacę i Murzyna – z jednego kawałka drewna. Ja zawsze miałem silne opory przeciwko takim igraszkom wizualnym, polegającym na tym, że ciało ludzkie – albo obiekt człekokształtny – traktuje się jak przedmiot, łączy z przedmiotem albo z nim miesza. Tatuazy na przykład znieść nie mogę i nie dziwię się Żydom, że ich zdaniem nawet najbardziej ortodoksyjny rabbi przestaje być koszerny, jeśli coś się na nim wytatuuje. Trup z tatuażem nie dostanie miejsca na żydowskim cmentarzu.

Najwyraźniej na Murzynie coś kładziono. Mama powiedziała, że wizytówki: pierwotnym jego przeznaczeniem było stanie w korytarzu, tak aby goście mogli zostawiać na nim swoje bilety wizytowe. Potem wyciągnęła z albumu stare zdjęcie, wprawdzie nie sepiowe, ale tak pożółkłe, że mogłoby być sepiowe. Na zdjęciu stała mała jasnowłosa dziewczynka z tak zwaną tutką (coś w rodzaju torebki – stożek z papieru, z dziurą zamiast podstawy, w środku były cukierki i dlatego noszono to szpicem do dołu). Dziewczynka uśmiechała się do tutki, stojąc przed wystawą sklepu ze słodyczami i przyprawami. To była moja matka, w wieku lat czterech. W oknie sklepu na zdjęciu majaczyła czarna, wielkooka morda z tacą na głowie.

Matka powiedziała mi, że to była najpiękniejsza rzecz, jaką w swoim ówczesnym czteroletnim życiu widziała. I nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby go mieć na własność. I może dobrze, bo – jak powiedziała – pewnie by zwariowała i spuchła od płaczu, tak bardzo chciałaby go mieć, gdyby tylko wiedziała, że można mieć takie rzeczy.

W sklepie oprócz Murzyna był także niemowa. Nie lalka niemowa (znaczna większość lalek to niemo-wy), tylko prawdziwy, żywy niemowa. Nie umiał czytać ani pisać, ale rozumiał, co do niego mówiono, umiał liczyć i miał dobry kontakt z dziećmi, więc pozwolili mu pracować w sklepie ze słodyczami. Z dorosłymi nie miał dobrego kontaktu, bo się ich po prostu bał. Jak wchodziłi dorośli do sklepu, to musiał kierownik obsługiwać, bo niemowa chował się pod kontuar.

Na szczęście przeważnie przychodziły dzieci, albo po cukierki, albo wysłane przez matkę po cukier. Mówiono, że bał się wszystkich poza dziećmi, bo po wojnie ubecy go strasznie skatowali. Myśleli, że jest esesmanem, któremu nie udało się uciec z Polski i teraz udaje niemowę, żeby nie zdradzić się niemieckim akcentem. Katowali go i kazali mu mówić, a on nie mógł. I jak przyszedł pięćdziesiąty szósty rok i zaczęli dawać paszporty, to on zniknął. I ludzie mówili, że to jednak esesman był i wyjechał do Niemiec. Ale to niemożliwe, boby go aresztowali i w pięćdziesiątym szóstym, cały czas przecież polowano na hitlerowców. Inni mówili, że to był Niemiec, ale naprawdę niemowa, niemiecki niemowa, Bogu ducha winny, i wyjechał do NRD.

Ciekawe tylko, skąd w czasie wojny i tuż po wojnie na terenie Polski wziął się Bogu ducha winny niemiecki niemowa. Hitler nie chwalił się swoimi kalekami, nie obwoził ich po terenach okupowanych, reżim hitlerowski starał się je raczej ukrywać, a niedorozwiniętych – do których wtedy często zaliczano niemowy – po prostu eksterminował. Głuchoniemym nie wolno było używać języka migowego na ulicach, żeby – jak by to dzisiaj powiedziano – „nie dokonywać publicznej promocji kalectwa” (wtedy mówiono raczej o publicznym szkalowaniu obrazu rasy: nie należało upubliczniać faktu, że wśród rasy panów też są genetyczne niedoróbki). Co ciekawe, NRD przejęło to prawo w spadku po Hitlerze i do upadku komunizmu nie wolno było publicznie posługiwać się językiem gestów pod groźbą natychmiastowego aresztowania. Tak więc, jeśli nasz niemowa wyjechał z odwilżowej

Polski do NRD, gdzie ciągle był podczłowiekiem, to spadł z deszczu pod rynnę.

Ale z drugiej strony, hitlerowcy robili różne dziwne rzeczy. I wśród tych dziwnych rzeczy wcale nie musiało być rzeczą najdziwniejszą pojawienie się osobliwego niemowy na terenach okupowanych, podejrzanego później (może niebezpiecznie?) o związki z SS.

Moja matka stwierdziła, że kupi sobie tego Murzyna.

Kiedyś mogła być aktorką i śpiewaczką, studiowała śpiew, uczyła się śpiewu operowego. Ale przestała, bo dowiedziała się, że te wibracje, jakie produkuje w sobie śpiewak, kiedy emituje takie potężne dźwięki, uszkadzają mózg. O mnie mama mówi, że też powinienem być obrać inną karierę. Ponieważ jestem wygadany, ona uważa, że powinienem być zostać aktorem. Albo adwokatem. Albo handlowcem, który ma słodkie życie, raz na rok gdzieś jeździ, coś dużego przywiezie, sprzeda i ma za co żyć przez rok. Mama uważa, że byłbym dobry w negocjacjach.

## Kapral, kukułka i Statua Wolności

Ale wróćmy do kafli. Ile może być kafelków w całym ośrodku odwykowym?

Kilka tysięcy, licząc wszystkie kuchnie, łazienki, ubikacje i gabinety lekarskie. Wszystkie trzeba dopro-

wadzić do stanu śnieżnobiałej czystości, bo tak sobie zażyczył twój opiekun, wychowawca, kapral – różnie to nazywają w różnych miejscach. I kiedy ty idziesz naprzód, myjąc, szorując i zdrapując, on idzie za tobą, trzymając kawałek bułki z serem. Ty marzysz o takiej bułce z serem, ale nie masz jeszcze prawa do paczek od rodziny albo nie masz pieniędzy, żeby kupić coś w ośrodkowym sklepiku, i jesteś skazany na stołówekowe jedzenie. Czujesz zapach tego sera i czujesz go mocno, bo twój opiekun rozprzestrzenia go blisko twego nosa w sposób specyficzny – rozmazuje bułkę z serem na ścianie, dokładnie na świeżo wymytych kafelkach. Robi to, idąc za tobą ślad w ślad. Tak, abyś wiedział i wiedział, że gdy tylko skończysz, będziesz musiał zacząć wszystko od nowa i jeszcze raz od nowa, abyś wiedział, że jesteś całkowicie zależny od twojego wychowawcy, jemu jesteś pięć razy po – podległy, posłuszny, poddany, podporządkowany i pokorny. I trwać to będzie, póki bagietka się nie skończy, chociaż twój starszy, troszczący się o ciebie przyjaciel może mieć w plecaku następną i następną, nie wiadomo, ile sobie kupił w miasteczku, do którego wolno mu wyjść. I będziesz płakał, popłaczesz się i to będzie sukces, ten płacz, i to będzie cel całej tej ciężkiej pracy, ale nie koniec. Albowiem nikt nie powiedział, że osiągnięcie celu kończy pracę. Marzenie o osiągnięciu jakiegoś końca, jakiegoś stanu doskonałego, jest narkomańskim marzeniem – bo trzeźwe życie nie polega na osiągnięciu doskonałości, ale na nieustannym doskonaleniu się. Dlatego kiedy osiągniesz błogosławiony stan płaczu, twój opiekun pogrąży cię w jeszcze bardziej

błogosławionych stanach, wzywając wszystkich, aby mogli detalicznie obejrzeć twoje łzy i wyśmiać, opluć i obsikać każdą łzę z osobna, oczywiście symbolicznie, a jeśli nawet niesymbolicznie, to ty posprzątasz i to. A przyglądający się temu dyplomowany terapeuta westchnie i powie: Prawdziwa dojrzałość polega na akceptowaniu konsekwencji własnych działań. Zamiana ról.

I wtedy nagle ty stajesz się kapralem twojego wychowawcy i możesz kazać mu rozebrać się do slippek, stać przez godzinę pod zegarem z ręką wzniesioną ku górze (fachowo nazywa się to Statua Wolności) i równo co minuta mówić „kuku” (fachowo nazywa się to kukułka, każde błędne kuknięcie przedłuża trwanie kukułki o dodatkową minutę), możesz powiesić mu na piersi tabliczkę z napisem: „Jestem zboczonym sado-maso, napluj na mnie, lubię to”. Ja akurat byłem w ośrodku, gdzie nie używano takich tabliczek, ale spotkałem tam ludzi, którzy w tego rodzaju ośrodkach przebywali. Taka tabliczka była jedną z pierwszych rzeczy, jaką jeden z moich kolegów zobaczył po przyjeździe do pewnego ośrodka w górach. Nosił ją narkomanka pozbawiona nogi, którą straciła kiedyś po źle wykonanym zastrzyku (zakażenie, amputacja, terapia w ośrodku, tabliczką).

W moim ośrodku nacisk położono na bieganie. Niewłaściwe odłożenie ściereczki po jej użyciu lub pozostawienie jakiegoś przedmiotu na łóżku oznaczało bieg dwukilometrowy, bez możliwości zatrzymania się. To znaczy, mogłeś się zatrzymać, ale wtedy musia-



łeś zaczynać cały bieg od początku. Pamiętam, że grupa kolegów zawarła tak zwany układ i oskarżyli mnie wspólnie o różne zbrodnie, między innymi o kopnięcie szczotki. Tego dnia przebiegłem łącznie trzynaście kilometrów. Mój ośrodek był miejscem miłym w porównaniu z innymi, bardziej doświadczeni koledzy zdumiewali się łagodnością reżimu. Nie spotkaliśmy się w nim z takimi pomysłami, jak rozładowanie ciężarówka cegieł w piętnaście minut. Karanie sportem niektórzy traktowali jak wręcz perwersyjny rodzaj nagrody, na przykład ja w pewnym momencie zachwycałem się swoją coraz lepszą kondycją i nieustannie zgłaszałem własne przewinienia, co wściekało innych, bo wyglądali z tym głupio. Stawiało to wręcz w podejrzanym świetle ich uczciwość – skoro Kędzior (taką miałem ksywę) umiał codziennie znaleźć w sobie jakąś przewinę, to dlaczego inni nie? Skończyło się tak, że przyznano mi bieganie jako przywilej. Bieganie przyjemnościowe, takie pojawiło się określenie. Mogłem codziennie wyjść i pobiegać bez jakiegoś uprzedniego przewinienia. Nie, mój ośrodek był łagodny, w jakiś dziwny sposób dobry, na przykład jak ktoś świeżo po odtruciu nie miał siły biec, to mógł prosić – w drodze wyjątku – o rozłożenie biegu dwukilometrowego na dwa biegi po kilometrze. Tyle że nikomu jakoś to do głowy nie przychodziło – to ciekawe – żeby tak po prostu poprosić. Nie było tam też rzeczy najobrzydliwszej, czyli wykorzystywania ćpunów jako niewolników w celach zarobkowych. Ośrodek dla narkomanów może być złotym interesem. Na każdego ćpuna dosta-

je się pieniądze od Narodowego Funduszu Zdrowia i tu już można co nieco przyszczędzić, karmiąc podopiecznych przeterminowanymi darami Unii Europejskiej, zamiast kupować im świeże jedzenie. Można też wysyłać ćpunów do pracy w prywatnych firmach. Są chętnie wynajmowani, bo wiadomo, że w „monarach i różnych takich” ludzie zapieprzają jak obłąkani i pilnują jeden drugiego, żeby nikt nawet przez sekundę się nie opieprzał. Osiemdziesiąt procent wynagrodzenia ćpuna ośrodek bierze dla siebie. Pozostałe dwadzieścia procent teoretycznie należy do narkomana, ale ośrodek też mu je zabiera, żeby zorganizować letni wyjazd nad jezioro, który przeważnie z tajemniczych powodów nie dochodzi do skutku. I to też wchodzi w zakres treningu uczuć – to głębokie przeżycie bycia wychujanym, przeżycie tego bólu i zaakceptowanie go. Ta akceptacja – zarówno bólu, jak samego wychujania i uprzedniej niewolniczej pracy – przychodzi łatwo, ponieważ ćpun, kiedy się dowiaduje, jak bardzo różni się od innych ludzi, jak bardzo różni się jego umysł i jego „uczucia” (o ile takie są), wtedy przestaje się właściwie uważać za człowieka (to zjawisko spotkałem u prawie wszystkich leczących się narkomanów, wszyscy podkreślali, że uzależniony właściwie nie jest człowiekiem, raczej wyższą formą gada albo człekokształtnego kamienia z elementami wirusoidalnej złośliwości). Kiedy narkoman już się pogodzi z tym, że człowiekiem nie jest i nie ma uczuć ani ludzkiej wrażliwości, wtedy również godzi się z tym, że nie przysługują mu żadne ludzkie prawa. To przecież logiczne.

U nas w ośrodku akurat ta ścieżka emocjonalnego rozwoju nie była specjalnie intensywnie ćwiczona i wielu kolegów, którzy przyszli z innych ośrodków, patrzyło na to szeroko otwartymi oczyma, zdziwieni byli także, jeśli nie jakością, to ilością jedzenia, ponieważ nasza dietetyczka tylko niekiedy, jakby przez zapomnienie, eksperymentowała ze zmniejszaniem zawartości białka w posiłkach, jak również samego białka w tym białku (istnieją kiełbasy, które tak naprawdę kiełbasami nie są, bo nie ma w nich mięsa). Nie, nie mam pretensji do mojego ośrodka. Nie mam pretensji do nikogo. Nie mam pretensji do ludzi zdrowych, trzeźwych i niezależnych – może czasem tylko denerwowali mnie ci terapeuci, którzy nigdy nie byli uzależnieni, a którzy trochę zbyt często pozwalali sobie na wyśmiewanie nas: „Jak to? Nie potraficie tego? Takiej prostej rzeczy?” Narkomanów powinni leczyć narkomani, narkomani zachowujący dłużej abstynencję. Czyli ludzie, którzy wiedzą o cierpieniu, jakie wywołuje to nieustanne, drapiące i gryzące poczucie niewygody każdej chwili istnienia, nawet takiego łatwego, w którym chleb z masłem jest zagwarantowany co rano.

## Dyskusja wyrafinowanych umysłów o szarych kamieniach

Ja nie przeczę, że ludzie normalni też odczuwają taką niewygodę (a w każdym razie często o tym mówią). Ale dla nich to jest swędzenie, a dla uzależnionego – agonia. Tak ma człowiek, który urodził się narkomanem i alkoholikiem. Bo narkoman rodzi się narkomanem, chociaż niektórzy mówią: urodził się z predyspozycją do uzależnienia, ale to głównie prawda. Narkoman nie rodzi się z predyspozycją do uzależnienia, narkoman rodzi się uzależniony, i ja, kiedy miałem już dziesięć lat, tylko wypatrywałem czegoś, czegokolwiek, co tylko mogłoby na chwilę mnie ogłupić i znieczulić, bo już wtedy sam goły był dla mnie nie do wytrzymania, czułem, że bycie jest niewygodne, że to jest jego podstawowa i zasadnicza cecha. Tysiące rzeczy, które są niewygodne, niedopasowane, bezsensowne, szare, nic mi niedające, zamknięte dla mnie, obojętne – a więc jeszcze gorsze niż rzeczy przykre, bo rzeczy przykre przynajmniej mi coś robią, a te nic nie robią, są mi jeszcze bardziej obce, te wszystkie bezsensowne kamienie, parkany, siatki metalowe, kupki piasku czy na przykład kafelki, bo kafelki też były mi czymś obojętnym wtedy. Kompletnie nie rozumiałem, dlaczego mój ojciec i matka tak się podniecają tym, że będziemy mieć kafelki, wydali mi się jakimiś zdrajcami, cudzołożnikami, którzy w jakiś sposób zdradzają swoje człowieczeństwo i swoją duszę, duchowo oddając się zimnej, martwej, obojętnej materii. Ale trudno było

się nie oddawać tej materii, bo ona była wszędzie, i to w swej najbardziej obojętnej postaci. Była właściwie jedyną treścią tych dni, kiedy szedłem do szkoły, obserwując płyty chodnikowe, potem siedziałem w szkole i obserwowałem plamy grzyba na kremowym suficie, plamy, które osobliwie fioletowały, podczas kiedy nauczycielka osobliwie głądziła i właściwie nie miałem po co jej słuchać, bo mówiła te same rzeczy, które mówiła poprzedniego dnia. Potem znowu powrót do domu i bliski kontakt z wyjątkowo nieprzyjemną materią, jaką był kwadracik rozmrożonej ryby z twarzymi ziemniakami, bo był socjalizm i inne rzeczy do jedzenia przeważnie były nieosiągalne. Ale nawet gdyby jedzenie było lepsze, a płyty chodnikowe we wszystkich kolorach tęczy, to ja i tak przeczuwałem, że tak naprawdę to wszystko jest zawsze obce i obojętne, jakkolwiek by to pomalować albo przyprawić. Dlatego strasznie chętnie słuchałem, gdy babcia i jej sąsiadki wspomniały czasem o czymś samobójstwie, a potem w telewizji usłyszałem coś mniej więcej takiego:

– Panie profesorze, ale jak można wytłumaczyć ten nagły rozwój narkomanii w naszym społeczeństwie? To jest całkowicie zrozumiałe na Zachodzie, gdzie człowiek bytuje w warunkach krańcowego stresu i niepewności, w każdej chwili zagrożony bezrobociem, a co za tym idzie bezdomnością i śmiercią, tam, gdzie każdy może przestać być traktowany jak człowiek, jak istota czująca, i zostać potraktowany jak przedmiot, jak nieczuły, martwy grat, który się wyrzuca na ulicę. A równocześnie ten sam człowiek

jest bombardowany reklamą, ideologią konsumpcyjną, która nakazuje mu pożądać przedmiotów i zabijać się dla ich posiadania, nie zważając na ogólnoludzkie wartości. Taki człowiek musi być podatny na narkomanię, bo z jednej strony musi czymś zabijać dławiący go lęk, a z drugiej – uczy się go, że ma zaspokajać każdą swoją egoistyczną zachciankę, nie bacząc na cenę. Człowiek Zachodu jest niejako w takich kleszczach, które i z jednej, i z drugiej strony skłaniają go do narkomanii. Ale jak to się dzieje, że obywatele socjalistycznego społeczeństwa, mający zagwarantowany byt, a równocześnie chronieni przed manowcami egoistycznej konsumpcji, decydują się na tak dramatyczną decyzję, wiodącą ku samozniszczeniu?

– Przede wszystkim, panie redaktorze, pozwolę sobie pogratulować panu tak celnej analizy stanu ducha człowieka na Zachodzie, który rzeczywiście jest niejako predestynowany do narkomanii. Ale, niestety i zarazem na szczęście, kondycja ludzka jest taka, że człowiek nigdy nie żyje w stanie idealnym, nawet w społeczeństwie socjalistycznym. Przypomnę panu podstawowe spostrzeżenie Marksa, które podzielali także polscy marksiści, jak Brzozowski: człowiek nie akceptuje otaczającego go nieludzkiego świata, człowiek nie akceptuje natury, bo jest ona nieludzka. I walczy, aby ją przekształcić w coś ludzkiego. To przekształcenie odbywa się poprzez pracę. Mało jest rzeczy mniej ludzkich i mniej zachęcających niż kamienie. Szare, zimne, twarde, pozbawione uczuć. Nawet jeśli akurat żaden kamień nie robi nam krzywdy,